

MARIO GIORDANO

*Ciotka
Poldi*
I SYCYLIJSKIE
LWY

Przełożyła
Agnieszka Hofmann



Kraków 2017

Copyright © 2015 by Bastei Lübbe AG, Köln

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by

WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczenie z języka niemieckiego: AGNIESZKA HOFMANN

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki i ilustracje: MARTINA FRANK

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca redakcyjna i organizacyjna:

Anita Brylewska, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-56-9



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: studio@initium.pl

Druk i oprawa: DRUKARNIA README, www.readme.pl

Rozdział 1



OPOWIADA O TYM, JAK I DLACZEGO POLDI PRZYBYWA NA SYCYLIĘ I CO SĄDZĄ O TYM JEJ SZWAGIERKI. O TYM, ŻE BEZ PERUKI I BUTELKI BRANDY ANI RUSZ. O TYM, JAK POLDI ZAPRASZA NA PIECZEŃ WIEPRZOWĄ, SKŁADA SIOSTRZEŃCOWI PROPOZYCJĘ NIE DO ODRZUCENIA I POZNAJE SĄSIADÓW PRZY VIA BARONESSA. I O TYM, JAK WKRÓTCE POTEM JEDEN Z NICH, NIESTETY, ZNIKA.

Moja ciotka Poldi w dniu swoich sześćdziesiątych urodzin wyprowadziła się na Sycylię, by tam elegancko zapisać się na śmierć, spoglądając przy tym na morze. A w każdym razie właśnie tego wszyscy się obawialiśmy. Niepotrzebnie, bo jak się okazało, ciotce i tak coś wiecznie stawało na przeszkodzie. Sycylia jest skomplikowana

– tu nawet umrzeć nie można tak po prostu, ciągle coś wchodzi człowiekowi w paradę. A potem wydarzenia zaczynają następować po sobie lawinowo, ktoś zostaje zamordowany, nikt nic nie widział, o niczym nie wie. Więc jasna sprawa, że ciotka Poldi, uparta i bardzo bawarska, musiała wziąć sprawy w swoje ręce i zaprowadzić porządek. I od tego zaczęły się problemy.

Moja ciotka Poldi. Była olśniewającym zjawiskiem, uwielbiała dramatyczne występy. W ostatnich latach przybrała nieco na wadze, a alkohol i melancholia, trzeba przyznać, pozostawiły na jej twarzy pewne ślady, mimo to nadal była atrakcyjną kobietą, umysłowo w szczytowej formie, w każdym razie na ogół. Nie mówiąc o modzie. Kiedy ukazał się album *Music* Madonny, ona pierwsza na Westermühlstraße zaczęła nosić biały kowbojski kapelusz. W jednym ze swych pierwszych wspomnień widzę ją z wujkiem Peppe, jak stoi na tarasie moich rodziców, cała w jaskrawych oranżach, z piwem w jednej i papierosem w drugiej ręce, a cały świat drży w posadach od śmiechu, wstrząsającego całym jej ciałem, niezmordowanymi zrywami. Przerwy robiła tylko na świńskie kawały, przeplatane przekleństwami, które, powtarzane następnego dnia na szkolnym dziedzińcu, czyniły ze mnie gwiazdę.

Isolde i Giuseppe poznali się w Monachium, w telewizji, gdzie Poldi pracowała jako kostiumolożka, a wujek Peppe jako krawiec, który to zawód, z braku innych talentów oraz wizji, przejął po swoim ojcu, a moim dziadku, tyranie i hipochondryku, któremu

również brakowało talentu i wizji w przeciwieństwie do jego ojca, czyli mojego pradziadka, Barnaby. Barnaba w latach dwudziestych bez znajomości choćby jednego słowa po niemiecku wyemigrował do Monachium, by zbić majątek na lukratywnej hurtowni owoców południowych. Ale zbaczam z tematu.

Poldi i Peppego połączyła wielka miłość. Niestety, parę rzeczy poszło kompletnie nie tak. Dwa poronienia, alkohol, kobiety w życiu wujka, rozwód, choroba wujka, jego śmierć, tamta historia z posiadłością w Tanzanii i parę innych niewesołych zakrętów, uskoków i błotnych lawin w życiu ciotki – wszystko to sprawiło, że popadła w melancholię. A mimo to nadal często się śmiała, kochała, ostro tankowała i po prostu nie potrafiła odpuścić, kiedy coś szło nie po jej myśli. Czyli w gruncie rzeczy zawsze.

Poldi kochała swój zawód. Ale w ostatnich latach coraz częściej traciła zlecenia na korzyść młodszych koleżanek. Telewizji wiodło się gorzej, nastaly ciężkie czasy, a Poldi miała coraz mniejszą radość z pracy. Pech chciał, że tamta nieszczęsna sprawa z Tanzanią pozbawiła ją niemal całych oszczędności. A potem jedno po drugim zmarli jej rodzice, zostawiając jej w spadku mały domek na obrzeżach Augsburga. A ponieważ Poldi nienawidziła tego domu i wszystkiego, co było z nim związane – niewiele myśląc, postanowiła wyskrobać ostatnie pieniądze i spełnić swoje ostatnie życzenie: umrzeć, patrząc na morze. W gronie rodziny.

Oczywiście rodzina domyślała się, że Poldi, przy swej skłonności do melancholii, zamierza dopomóc temu umieraniu paroma kieliszczykami, i uznała, że należy temu przeciwdziałać wszelkimi sposobami i na wszystkich frontach. Mówiąc „rodzina”, mam na myśli głównie moje trzy ciotki: Teresę, Caterinę i Luisę, oraz wujka Martino, męża Teresy. Ciotka Teresa, która nami rządziła, próbowała przekonać Poldi, żeby sprowadziła się do nich, do Katanii, już choćby ze względu na kontrolę społecznościową.

– Poldi, co będziesz siedziała taka samiutka? – lamentowała w swoim najlepszym monachijskim dialekcie. – Osiądź gdzieś niedaleko nas, będziesz miała do kogo gębę otworzyć, z kim w karty zagrać, wszystko sobie załatwisz na piechotę, teatr, kina, supermarket i szpital praktycznie miałabyś za rogiem, nawet paru przystojnych policjantów by się u nas znalazło.

Zero szans. Widok na morze – takie było wewnętrzne postanowienie Poldi – i widok ten, wraz z zapierającą dech w piersiach panoramą z tarasu na dachu, dostała. Na wprost morze, a za plecami, wystarczyło się odwrócić, Etna. Czego chcieć więcej? Głupio tylko, że Poldi, z tym swoim chorym kolanem, ledwie pokonywała schody na dach.

Torre Archirafi jest miłą, zaspaną dziurą na wschodnim wybrzeżu Sycylii, położoną między Katanią a Taorminą, która ze względu na ciągnące się kilometrami nabrzeże pełne ostrych skał z zastygłej

lawy praktycznie nie nadaje się do jakiegokolwiek turystycznej eksploatacji, gentryfikacji czy oszpecenia. Tak mogłoby się przynajmniej wydawać. W istocie fakt ten nie powstrzymuje mieszkańców od pozbywania się swoich śmieci na brzegu morza, wzajemnego utrudniania sobie życia oraz latem wbijania klockowatych drewnianych platform i bud z jedzeniem między skały, gdzie całe rodziny oraz młodzi ludzie z Katanii spędzają weekendy na kąpielach słonecznych, jedzeniu, czytaniu gazet, sprzeczkach, jedzeniu, słuchaniu radia, jedzeniu i flirtowaniu, a wszystko to przy ogłuszających dźwiękach niezidentyfikowanych basów oraz odurzającym zapachu olejku kokosowego, oleju do smażenia i fatalizmu. I pośrodku tego wszystkiego – moja ciotka Poldi. Nigdy nie pojąłem czemu, ale uwielbiała to.

Za to zimy w Torre były wilgotne i chłodne. Ołowiane i twarde fale piekliły się na wysuniętych w morze łamaczach, jakby chciały zagarnąć całe miasteczko, i każdym swoim słonym oddechem malowały na sufitach kolejne kwiaty czarnej pleśni. Klimatyzacja i dychawiczne kaloryfery nie miały najmniejszych szans. Już pierwszej wiosny po wprowadzeniu się na Via Baronessa, zaraz w kwietniu, ciotka Poldi musiała odmalować cały dom. I tak co roku na nowo. Zimy w Torre to nie igraszka, ale przynajmniej trwają krótko.

Po zakupy jeździło się do pobliskiego Riposto albo najlepiej od razu do Megamercato Hipersimply, gdzie

można dostać wszystko. W samym Torre były jeszcze tylko małe *tabacchi* z artykułami pierwszej potrzeby, prowadzone przez signora Bussacę, *pasticceria* Cocuzza ze smutną signorą i *ristorante*, którą nawet koty omijały szerokim łukiem. Ale Torre Archirafi ma źródła wody mineralnej i choć rozlewnia w porcie została zamknięta już w latach siedemdziesiątych, dla moich ciotek pojęcie *acqua di Torre* wciąż wiele znaczyło. Z bocznej ściany starej rozlewni nadal wystawały rzadkiem mosiężne krany, z których mieszkańcy Torre za darmo mogli pobierać wodę mineralną.

– I jak smakuje? – zapytałem uprzejmie, kiedy Poldi po raz pierwszy w zachwytach opowiedziała mi o publicznej stacji napełniania wody, jakby to była fontanna z płynną czekoladą.

– Oczywiście obrzydliwie! A co myślałeś? Ale chodzi o lokalny patriotyzm.

Wujek Martino, który z zawodu był sprzedawcą skarbców i kas pancernych dla banków, co było zajęciem dość lukratywnym, i który Sycylię zna jak mało kto, bite cztery tygodnie woził Poldi wzdłuż i w poprzek wyspy między Syrakuzami a Taorminą, w poszukiwaniu odpowiedniego domu. Ciotki zdołały przynajmniej przekonać Poldi, by zawęziła poszukiwania do rejonu w promieniu maksymalnie godziny jazdy samochodem z Katanii. Żaden dom nie spełniał jednak oczekiwań Poldi, w każdym znajdowała coś,

do czego mogła się przyczepić, skrytykować albo wydrwić. A przy tym kierowała się w gruncie rzeczy tylko jednym, za to dość ezoterycznym kryterium.

– Wiesz – szepnęła mi – to całkiem proste, ja to czuję od razu. Są dobre miejsca o dobrych wibracjach i złe miejsca o złych wibracjach. Pośrodku, musisz wiedzieć, nie ma nic, to jest w pewnym sensie cyfrowe, jak struktura binarna szczęścia.

– Jak co???

– Oj, nie przerywaj mi ciągle. Ja od razu czuję, czy miejsce jest dobre czy złe. To może być miasto, dom, mieszkanie, wszystko jedno. Czuję to od razu. Energię. Karmę. Czy lód wytrzyma, rozumiesz? To się czuje.

Niestety, nie poczuła tego w przypadku żadnego domu, który wyszukały dla niej ciotki. Lód nie wytrzymał, co powoli zaczynało dawać się we znaki nawet wujkowi Martino, który generalnie z każdą godziną spędzoną za kółkiem robił się coraz bardziej rześki, nie uznawał klimatyzacji, nawet w sierpniu z zasady nie pijał wody, ani łyżka, za to palił mniej więcej tyle, ile oddychał.

Pamiętam wakacyjne wycieczki z wujkiem Martino, kiedy z powodu pierwszego poparzenia słonecznego musiałem zrobić sobie przerwę od plaży. Wycieczki! Dwunastogodzinne przeprawy przez piekło Dantego w powietrzu przypominającym płynne szkło, bez wody i ochłody, w kompletnie zadymionym fiacie rega-

ta. Kiedy opuszczałem boczną szybę, *sirocco* przypiekał mi twarz żywym ogniem i tarł jak papierem ściernym. Wołałem już oddychać dymem papierosowym. Wujek Martino gadał do mnie bezprzerwy. Nawijał o historii Sycylii, o pochodzeniu najlepszych pistacji, o lordzie Nelsonie i siostrach Bronté, o życiu w średniowieczu, o królu Sycylii Fryderyku II, rynku Vucceria w Palermo, wędrówkach tuńczyka i trzebieniu łowisk przez japońskie trawlery, a także o mozaikach z katedry w Monreale. Komentował transmisje Radia Radicale z włoskiego parlamentu. Perorował o cyklopach, Grekach, Normanach, Arabach, generale Pattonie, Luckym Luciano i żółtych jedwabnych apaszkach. O jedynym możliwym sposobie przyrządzania *granity*. O aniołach, demonach, Trinacrii, prawdzie o Kafce i komunizmie oraz o zależnościach wzrostu i skłonności kryminogennych w obrębie męskiej populacji Sycylii. Żelazna zasada mówiła: im mniejszy mężczyzna, tym bardziej niebezpieczny, i większe prawdopodobieństwo, że jest mafiosem. Wujkowi bynajmniej nie przeszkadzało, że ledwie go rozumiałem. Mój włoski był szczątkowy. Poza paroma przydatnymi przekleństwami i słówkami *che schifo*, *allucinante*, *birra*, *con panna*, *boh*, *beh* i *mah* – zestaw podróżny słownictwa młodzieżowego na plażę – praktycznie nie istniał. Wujek Martino zupełnie się tym nie przejmował, nawet kiedy w końcu zabrakło mi sił nawet na to, by dać jakikolwiek znak życia. Po prostu jechał dalej, paląc,

trajkocząc, z każdą godziną młodszy i bardziej rześki, jak jakiś sycylijski Dorian Gray. W przerwach, w tych rzadkich momentach, w których milkł na krótko, by zapalić kolejnego MS, wypowiadał imię swej żony:

– Teresa.

Tak po prostu, znienacka, jakby była gdzieś w pobliżu, w bagażniku albo pod tylnym siedzeniem, a on musiał powiedzieć jej coś ważnego.

– Teresa!

Na tę osobliwą formę miłosnego zaklęcia nie należało odpowiadać, ciotka Teresa zaś zapewniła mnie kiedyś, że słyszy go za każdym razem, gdy wujek ją przywołuje, obojętnie, jak jest daleko.

Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się pod prowincjonalnym bankiem w jakiejś wypalanej słońcem dziurze, gdzie ja wreszcie dostawałem colę, a wujek Martino wypijał *caffé* z dyrektorem banku, zawierał transakcję albo przykładał rękę do zablokowanych drzwi skarbcza, na co te otwierały się w cudowny sposób. Wujek w ogóle znał parę sztuczek, do których zaliczało się między innymi zbieranie grzybów. A przy okazji pokazywał mi okultystyczne freski świątynne w ośmiokątnych romańskich kościółkach, chłodne, tajemne korytarze w arabsko-normańskich zamkach i nieprzyzwoite sztukaterie w barokowych pałacach. Ot, co akurat odkrył podczas swych wояży po Sycylii.

Nikt nie znał Sycylii lepiej niż mój wujek Martino, ale znalezienie odpowiedniego domu dla Poldi

stanowiło wyzwanie nawet dla jego tubylczego doświadczenia i znajomości terenu, ba – dla całej jego życiowej mądrości.

– Przez pierwsze dni moja taktyka polegała na tym, żeby skruszyć Poldi – wyznał – zmiękczyć ją, żeby rychło zdecydowała się na jakiś dom w pobliżu. Upał, jazda samochodem, frustracja: idealna taktyka w wojnie pozycyjnej. Ale twoja ciotka jest po prostu niezniszczalna, nie do pokonania. Jak czołg. Jęczy i złorzeczy, pot cieknie jej spod peruki jak z nieszczęsnej beczki, ale nie popuszcza. Twarda z niej sztuka. Madonna, próbowałem wszystkiego.

– I jak w końcu znaleźliście ten dom?

– Przez przypadek.

Milczał i palił, palił i milczał. A ja czekałem. To też był rodzaj wojny pozycyjnej. U wujka taktyka ta sprawdzała się zawsze, bo on z natury chce gadać, nie potrafi inaczej, jak nieustannie nadawać.

– Psiamać! No dobra, słuchaj. To był ostatni dzień, popołudnie, odbębniliśmy pięć domów, ja na skraju rozpaczy, nie wiem, co robić, potrzebuję *caffè*. Więc zjeżdżam najbliższym zjazdem z *provinciale*.

– Na Torre Archirafi.

– Mówię, przypadek. Nawet nie mieliśmy tam żadnego domu na oku. Zatrzymaliśmy się dosłownie tylko na *caffè* w tym małym barze, wiesz, tym ze smutną signorą przy kasie. Wszczynam pogawędkę z jakimś jegomościem, rozmawiamy o tym, o owym.

A Poldi? Już zaczyna się wiercić, już gdzieś ją niesie. Ale ja nie zamierzam dać się poganiać, potrzebuję chwili oddechu, zamawiam jeszcze jedną *caffè* i gawędzę sobie z tym miłym panem. Poldi nie wytrzymuje, wypada z baru i... znika.

– Znika? Poldi? Jak to znika?

– Madonna, w znaczeniu przenośnym, oczywiście! Po prostu nie wraca. Po jakimś czasie zaczynam się denerwować i idę jej szukać.

Zgasił papierosa, wytrząsnął z paczki kolejnego, zapalił.

– Ale jej nie znajdujesz – próbuję nakierować go z powrotem na właściwe tory.

– Jakby zapadła się pod ziemię. Zagaduję księdza, który właśnie nadchodzi z naprzeciwka, opisuję mu Poldi. A jego świątobliwość, cały w zachwytach, już wie, o kogo chodzi. Ach, miła signora Poldina z Monaco di Baviera! Moje nazwisko oczywiście też już zna, całe drzewo genealogiczne, wie, że szukamy domu, i pokazuje mi stary dom pośrodku uliczki, przy której stoimy. I co ja widzę? Ruina, mówię ci, rozwalająca się ruina, tylko koty, jaszczurki, janowiec i duchy. Wchodzę do środka i widzę, jak zaaferowana Poldi biega między ścianami z lawy wulkanicznej, mierzy krokami pomieszczenia, potupuje, jakby sprawdzała grunt. Na mój widok woła: „Lód wytrzyma! To jest to! To dobre miejsce! Widziałeś, jak się nazywa ta ulica? Dobre wibracje, czysta pozytywna energia!”. Jej słowa.

„To jest mój dom!”, wykrzykuje. Wszelki opór zbyteczny, znasz ją przecież.

– A ten dom był w ogóle do kupienia?

– Żartujesz? Nie słyszałeś, co mówiłem? – Wujek złożył ręce jak do modlitwy i potrząsnął nimi z ożywieniem. – Ru-i-na! Oczywiście do ściany była gdzieś przyklejona przedpotopowa kartka z napisem „Na sprzedaż” i numerem telefonu. Właściciel nie mógł uwierzyć w swe szczęście, kiedy Poldi do niego zadzwoniła. Resztę znasz. Jak by mnie kto pytał, to przepłaciła, za takie pieniądze mogłaby ci zrobić na pięterku porządną łazienkę.

Nie wiem, czy ciotka Poldi przepłaciła za dom przy Via Baronessa, i jest mi to obojętne. Wspaniałomyślnych ludzi nie da się oszukać, a Poldi jest najbardziej wspaniałomyślną osobą, jaką znam. Nigdy w życiu nie pozwoliła sobie czegoś podarować, nigdy nie domagała się, by coś sprzedano jej taniej. Każdemu, kto jej pomagał, dobrze płaciła, rzemieślnikom, *spazzino* i Valentino, a w restauracji zawsze dawała sute napiwki. Nie żeby szastała pieniędzmi na prawo i lewo, nie miała ich przecież zbyt wiele, ale mamona nigdy nie była dla niej ważna.

Faktem jest, że kupując dom, Poldi trafiła w dzielnice, co potwierdził mój kuzyn Ciro, który jest architektem i na takich sprawach się zna. Odpowiadając życzeniom i skromnym zasobom finansowym Poldi, w ciągu kolejnego roku odrestaurował dom przy Via

Baronessa i wyposażył go tak, jak chciała. Istotnie był to piękny, proporcjonalny dom. Położony w drugiej linii od morza, nie za mały, nie za duży, trzypiętrowy, z barokowym balkonem, niewielkim *cortile* i wspomnianym już tarasie na dachu, z którego roztaczał się spektakularny widok na morze i wulkan. Wciśnięty w cieniłą uliczkę na tyłach nabrzeżnej promenady, jaśniał odcieniami lila i słonecznej żółci, z zielonymi okiennicami i kanciastą mosiężną tabliczką, która z daleka obwieszczała, kto mieszka przy Via Baronessa 29: Isolde Oberreiter. Moja ciotka Poldi. A na poddaszu co parę tygodni także jej siostrzeniec z Niemiec. Jakoś od samego początku stanowiłem część inwentarza, na równi z afrykańskimi bożkami z hebanu i porcelanowym pudlem naturalnej wielkości.

Kiedy rok później dom był gotowy do zamieszkania, a monachijskie mieszkanie – pomijając duchy wspomnień – puste, wóz meblowy wyruszył w stronę Alp, Apeninów i Etny. Stare alfa romeo Poldi, wyładowane bagażami i zatankowane do pełna, czekało na Westermühlstraße na swoją ostatnią wielką podróż. No i na mnie. Bowiem ze względu na paniczny lęk Poldi przed lataniem oraz na to, że tak długa jazda samochodem w pojedynkę i na trzeźwo w jej przypadku nie wchodziła w grę, ciotki zmusiły mnie, abym to ja zawiózł Poldi z Monachium do Torre Archirafi.

– Przecież sam decydujesz o swoim czasie i jesteś niezwiązany – wyjaśniła mi przez telefon ciotka Cate-

rina, głos rozsądku w naszej rodzinie. – A pisać równie dobrze możesz u nas, może nawet tu będzie ci lepiej.

Co miało znaczyć: i tak jesteś bezrobotny, uchyłasz się od pracy, nawet dziewczyny nie masz, chociaż mężczyźni w twoim wieku już dawno mają pozakładane rodziny, więc równie dobrze możesz się objąć u nas, może będzie z tego coś dobrego.

I ostatecznie tak się stało.

Między Monachium a Torre Archirafi czekała mnie jednak jeszcze trzydziestoczterogodzinna jazda alfą z lat o osiemdziesiątych, wyposażoną w silnik o zbyt dużej mocy i pałąki przeciwkapotażowe, której Poldi za cholerę nie chciała wymienić na bardziej praktyczną pandę i którą i tak jeździła zbyt rzadko, jako że do prowadzenia auta trzeba przecież być trzeźwym.

– Moglibyśmy pojechać do Genui, a potem przytulnie załadować się na prom do Palermo – zaproponowałem nieśmiało, ale Poldi tylko popatrzyła na mnie z politowaniem. Mój błąd. Powinienem był wiedzieć. Jeśli istniało jakieś słowo, którym gardziła z całego serca, to „przytulnie”.

– No wiesz, skoro to cię przerasta...

– Nie, w porządku – wydusiłem i potoczyliśmy się przed siebie. Nigdy nie przekraczając setki, przepeliliśmy przez przełęcz Brenner, spłynęliśmy pomalutku w dół buta, w ślimaczym tempie minęliśmy Mediolan, Florencję, Rzym i Neapol, cały czas autostradą

aż do Reggio di Calabria, o świcie na promie między Scyllą a Charybdą pochłonęliśmy pierwsze *arancini di riso*, w Mesynie zgubiliśmy drogę i właśnie tam Poldi uparła się, że ostatni odcinek do Torre pojedzie sama. Docisnęła gaz do dechy i astmatyczny silnik alfy zawył. Kiedy przybyliśmy do Torre, ucałowałem ziemię i podziękowałem Matce Bożej za ratunek i ponowne narodziny.

– Wszystkiego najlepszego – wystękałem. Był to bowiem dzień, w którym moja ciotka Poldi skończyła sześćdziesiąt lat.

Wujek Martino i ciotki co parę dni wpadali do Torre, by doglądać Poldi. Ciotki miały bowiem swój własny projekt: utrzymać Poldi przy życiu tak długo, jak to możliwe, a przynajmniej pobudzić w niej choć minimalny apetyt na życie. Dla Sycylijczyków radość z życia opiera się na dwóch filarach: na dobrym jedzeniu i rozmowach – a właściwie sporach – o dobrym jedzeniu. Wujek Martino na przykład codziennie odwiedzał swoją świątynię, czyli targ rybny w Katanii. Tak naprawdę nie było to wesołe miejsce, tylko coś w rodzaju giełdy, gdzie spięci mężczyźni, w najwyższym stopniu skupieni, krążyli wokół straganów z rybami, sprawdzając jakość oferty oraz ceny, licząc na część brzuszna tuńczyka albo na to, że któryś z rybaków przybędzie trochę później z miecznikiem, kiedy już wszyscy zaopatrzą się w ryby i będzie można kupić

go po niższej cenie, i to świeższego niż u kogokolwiek innego. Cała ta procedura to nie igraszka i trwa parę godzin. Wujek z ciotką Teresą chadzał też na grzyby pod Etnę. Po chleb jeździł za Etnę, a po jajka do pewnego warsztatu samochodowego koło Lentini, gdzie zmutowane kury składały jaja z dwoma żółtkami. *Granitę* jadło się tylko u Ciprianiego w Acireale, *cannoli alla crema di ricotta* tylko u Savii przy Via Etnea w Katanii. Kiedy raz pochwaliłem *pasticcerię* Russo w Santa Venerina za marcepan, wujek tylko warknął z pogardą – i od razu pojechał tam ze mną, by na miejscu zbadać sprawę, a potem z uznaniem wyrazić się o mojej inteligencji. Czereśnie musiały być z S. Alfio, pistacje z Bronte, a ziemniaki z Giarre, dziki koper włoski z pewnego skrywanego w tajemnicy starego pola na pokładach lawy, gdzie przy odrobinie szczęścia można było znaleźć też wielkie jak talerze boczniki, o ile Terranova nie splądrowali go wcześniej. *Arancini di riso* jadało się tylko u Urny w San Giovanni la Punta, zaś pizzę w Il Tocco za zjazdem z *provinciale*, zaraz za stacją Esso. Smaczne mandarynki to tylko te z Syrakuz, a figi wyłącznie od ulicznego handlarza w San Gregorio, skądkolwiek pochodziły. Jeśli w ogóle jadło się rybę poza domem, to jedynie u Don Carmelo w Santa Maria la Scala. Tam również podawali najlepszą *pasta al nero di seppia*. Życie było skomplikowane, kraj dławiony kryzysem i korupcją, mężczyźni wciąż do czterdziestki albo do ślubu mieszkali u rodziców,

bo nie mogli znaleźć pracy – ale w sprawach kulinarnych nigdy nie szło się na kompromis. I to właśnie podobano się Poldi w Sycylii, jako osobie ciekawej świata i rozkochanej w rozkoszach zmysłów. Jej zdaniem wujek nie znał się tylko na winie, bowiem i on, i ciotki pili je niechętnie. W ogóle na Sycylii mało się pije, najwyżej łyčzek do kolacji, to wszystko. Początkowo stanowiło to pewien problem dla Poldi, do momentu, gdy odkryła dział win w Hipersimply, a później poznała Gaetano Avolę i jego winnicę w Zafferana. Ale tu zbytnio wybiegam naprzód.

Ciotka Poldi zaczynała dzień od prosecco na przebudzenie. Po nim wypijała espresso z prądem, a potem aplikowała sobie porządny strzał prądu bez espresso. Czasami, kiedy przyływy melancholii były wyjątkowo dotkliwe, wybierała się na spacer do Praioli, na małą, odludną, kamienistą plażę. Było to magiczne miejsce, z wodą jak przejrzysty płynny kobalt, poprzecinaną grudami lawy, wygładzonymi przez morskie pływy i przypominającymi rdzawe jaja dinozaurów. Zwykle była tam całkiem sama. Dopiero w środku lata na plażę ściągaly rodziny, obładowane radioodbiornikami, koszami piknikowymi, lodówkami, dmuchanymi akcesoriami i parasolami przeciwsłonecznymi, zostawiając po sobie śmietnik. W październiku plaża zaczynała przypominać wysypisko śmieci, a zimą ulegała oczyszczeniu przez sztormy. Ciotka Poldi zanu-

rzała czasem stopy w przejrzystej wodzie, wrzucała do morza jakiś wyjątkowo piękny okaz jaja dinozaura w darze dla wujka Peppe, składała dłonie i mówiła: „*Namaste*, życie”. A potem dodawała: „A pocałujcie wy mnie wszyscy w dupę”.

O jedenastej przychodziła pora na pierwsze piwo pszeniczne, które wypijała przy dźwiękach rozkręconej na cały regulator *Glorii* Umberto Tozziego, który swym zawodzeniem mógłby doprowadzić do obłądzenia nawet syreny w Cieśninie Mesyńskiej.

Kiedy odwiedzało nas moje kuzynostwo, ryczeliśmy do wtóru, tylko zamiast „Gloria” wyliśmy „Poldi”. Było to coś w rodzaju naszego hymnu.

Dziwne, ale sąsiedzi nigdy się na to nie skarżyli. Jeszcze dziwniejsze było to, że od pierwszej chwili pokochali Poldi, zanosili jej do domu zakupy, wykonywali drobne naprawy, chodzili z nią do urzędów i zapraszali na karty. Nieważne, jak bardzo sponiewierała ją życie – w jej towarzystwie każdy czuł się dobrze. Sąsiedzi mówili na nią „*donna Poldina*”.

Sąsiadami po lewej byli signora Anzalone z mężem, oboje już trochę starsi. Dom po prawej był własnością *dottore* Branciforti, doradcy podatkowego z Katanii, który zjawiał się tu najwyżej na weekendy (wraz z kochanką), tudzież w miesiącach letnich (wraz z rodziną). Na końcu ulicy mieszkał Elio Busacca, właściciel *tabacchi* na rogu. To on naraił ciotce Valentino.

W pierwszych tygodniach po przeprowadzce wszystko przebiegało zgodnie z planem. Ciotka, wypełniwszy swoje cztery ściany starymi meblami, rustykalnymi szafami, kolekcją antycznej broni po ojcu, afrykańskimi bożkami z hebanu i porcelanowymi bibelotami, przepijała na zmianę to w stronę morza, to w stronę wulkanu. Kiedy zwracała się ku Etnie, z szacunku dla wielkiego kopciciela zapalała jednego MS, czyli jak mawiali Włosi, *morto sicuro*, popijając kielonkiem brandy.

Skwar zdawał się spływać po niej jak rosa po liściu lotosu, choć pot aż się kroplił pod jej peruką.

No właśnie – peruka.

Nosiła ją, odkąd sięgam pamięcią. Potężne, czarne monstrum, które w zależności od panującej mody przybierało różną formę i wznosiło się na głowie ciotki niczym burzowa chmura. Jak głosi rodzinna legenda, nikt jeszcze nie widział, co się pod nią kryje. Nawet wujek Peppe wypowiadał się na ten temat nader oględnie. Przypuszczam, że Vito Montana w swoim czasie dostał zaszczytu zajrzenia pod świętość ciotki, ale i on zachowywał w tej kwestii dyskretne milczenie.

Zaraz w pierwszą niedzielę po przeprowadzce Poldi zaprosiła ciotki, kuzynów, kuzynki oraz mnie (wciąż odpoczywałem po podróży w jednym z pokoi gościnnych na poddaszu) na pieczeń wieprzową w sosie piwnym, knedle i kapustę. W południe. W połowie lipca. Na Sycylii. Na powitanie podano w szklankach

martini, którym mógłby się urząnąć nawet fiński marynarz. Podczas gdy Poldi doprawiała sos do pieczenia, wlewając łyk piwa na przemian do garnka i w siebie, my, jak pingwiny na sztormie, tłoczyliśmy się pod markizą w małym rozgrzanym patio. Chociaż trzeba przyznać – pieczeń pachniała wybornie. Kiedy Poldi, zlna potem, z głową rozpaloną do czerwoności, wyniosła na patio monstrualnych rozmiarów mięsiwo, w panice zerwałem się z miejsca.

– Schowaj się do cienia, ciociu!

Ale ona jak zwykle tylko popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Chłopcze, czy ty uważasz, że przyjechałam na Sycylię, żeby siedzieć w cieniu? Ja pragnę słońca, takiego prawdziwego, z mocą! *Il sole!* Gdyż albowiem we Włoszech słońce jest facetem, tak samo jak morze i wulkan, i w końcu dla tych trzech facetów tu przyjechałam! Usiądźcie wreszcie, a ja przyniosę knedle.

Pieczeń była jak poezja, *la fine del mondo*, nawet przy czterdziestu stopniach w cieniu. Moi kuzyni, którzy z natury rzeczy dość sceptycznie podchodzili do niemieckiego jedzenia, ociągali się wprawdzie, ale po pierwszych ostrożnych kęsach wtranżalali, aż im się uszy trzęsły. Tylko modrej kapusty nie tknęli, jak zwykle. W każdym razie upał nikogo nie zniechęcił do jedzenia.

– A powiedz, jak ty właściwie zamierzasz wrócić do Niemiec? – zwróciła się do mnie ciotka Poldi prosto z mostu.

Wzruszyłem ramionami.

– Za jakiś czas zarezerwuję sobie bilet na samolot.

Pokręciła głową, jakbym powiedział coś głupiego.

– Nie podoba ci się w pokoju gościnnym na pięterku?

– No, podoba.

– Piszesz?

– Ujdzie.

– A można by coś przeczytać?

To było dokładnie to pytanie, którego nienawidziłem.

– Wiesz, ciociu, w tej chwili raczej nie, bo tekst niejako jest w toku. *Work in progress*.

Podczas podróży w przypiływie lekkomyślności opowiedziałem jej o swoim autodestrukcyjnym projekcie: zamiarze napisania wielkiej, epickiej, niemiecko-sycylijskiej sagi rodzinnej obejmującej trzy pokolenia. Powieści grubaśnej, jędrnej, soczystej, erudycyjnej, pełnej zwrotów akcji, błyskotliwych obrazów, osobliwych postaci, zarośniętych łotrów, eterycznych piękności, z nagością, meandrami miłości, szelmostwami, skwarnymi dniami i aksamitnymi nocami, pełną historycznych równoległych wątków. No, po prostu wielkie dzieło, mój bilet do światowego sukcesu. Głupio tylko, że ani trochę nie posuwałem się naprzód. Totalna blokada, spięcie, syzyfowa praca już na pierwszych metrach. Wszystko to wyznałem między przełęczą Brenner a Mesyną, a ciotka tylko kiwała głową, bo na porażkach to ona się znała.

– Bo wiesz, tak sobie pomyślałam, że jeśli ci się na piętorku podoba, to możesz zostać. Ewentualnie przyjeżdżać częściej, w sensie, regularnie. Żeby pisać i zbierać materiały. No i podszkoliłbyś włoski.

Jęknąłem.

– Wielkie dzięki, ale stawiasz mnie pod jeszcze większą presją.

Z jakiegoś powodu ciotka nie odpuściła.

– Ja nie rozumiem, czego ty chcesz! Masz tam, na górze, własną łazienkę, masz spokój. Możesz przychodzić i wychodzić, kiedy zechcesz, a gdyby coś ci wyszło w kwestiach *amore*, to zawsze możesz ją tu przyprowadzić.

Jeszcze tego brakowało. Moje ciotki oczywiście natychmiast przyklasnęły z zachwytem, bo dzięki temu na miejscu byłby ktoś, kto miałby oko na ciotkę Poldi. Kiedy w następną niedzielę ciotka Teresa zaprosiła mnie na obiad, wiedziałem już, że wszelki opór jest bezcelowy. Pomyślałem, że przynajmniej będę mógł delectować się porażką, spoglądając na morze. Dobre i to. I tak raz w miesiącu na koszt ciotek przylatywałem z Niemiec, pomieszkiwałem na poddaszu domu przy Via Baronessa, a wieczorami ze zdumieniem słuchałem, jak lekko zawiana ciotka opowiada o postępach w śledztwie w sprawie zabójstwa Valentino.

Rozdział 2



OPOWIADA O VALENTINO, PEWNYM BARDZO PRYWATNYM PROJEKCIE FOTOGRAFICZNYM CIOTKI POLDI, POPOŁUDNIU W TORRE ARCHIRAFI I SMUTNEJ SIGNORZE COCUZZY. O ZATROSKANIU POLDI I O TYM, JAK O MAŁY WŁOS NIE ZOSTAJE PRZYGNIECIONA PALMĄ. O TYM, JAK POLDI PRZYWŁASZCZA COŚ SOBIE W ACIREALE I WKRÓTCE POTEM ODKRYWA MAŁY, ZA TO DOBRZE STRZEŻONY RAJ, Z KTÓREGO ZNIKA LEW.

Valentino był cichym chłopcem, niespełna dwudziestolatkiem drobnej budowy. Jednym z tych Sycylijczyków, u których ujawniało się arabsko-normańskie dziedzictwo Sycylii. Czarne kręcone włosy, oliwkowa cera, szeroki nos, szerokie usta, niebieskie oczy.

– Śliczny chłopak – orzekła z uznaniem Poldi. – Taki sam czaruś jak niegdyś Peppe. Aż człowiek grzeszy w myślach.

Bo – możecie wierzyć lub nie – Poldi, pomimo swoich sześćdziesięciu lat i tuszy, wciąż budziła zainteresowanie płci przeciwnej, przynajmniej sądząc po tym, jak patrzyli na nią miejscowi mężczyźni. Odkąd pamiętam, zawsze była z niej wielka szelmutka, nie zasypiała gruszek w popiele, a do mężczyzn, zwłaszcza tych w szykownych policyjnych uniformach, czuła wręcz niepohamowany pociąg. Zmiarkowałem to, gdy pewnego razu pokazała mi swoje albumy z kolekcją policjantów. Poldi miała jedno hobby: zajmowała się fotografowaniem przystojnych policjantów z całego świata. A że trochę tego świata zwiedziła, przez minione trzydzieści lat zdołała zappełnić obleczonej w wyprasowane mundury męskością pięć opasłych albumów, od Alaski po Australię, od Belgradu po Buenos Aires. Każda fotografia była opatrzona datą, a liczne również imieniem, bo zdarzało się, że Poldi poznawała stróżów porządku nieco bliżej. Pozowali jej do zdjęcia wytatuowani Maorysi w śnieżnobiałych szortach, brodaty Sikh w nieskazitelnym khaki, wyszczerzeni nowojorscy konni gliniarze w lustrzanych okularach. Parada wyprasowanych kantów, wąsów i tężyzny fizycznej. Kanadyjscy *mounties* w płomiennoczerwonych galowych mundurach, wąskobiodrzy Szkoci w czerni i bieli, krótkonodzy Boliwijczycy w oliwkowej zieleni

i szykownych beretach, nostalgiczne chłopaki z Syberii w futrzanych czapach – ciotka Poldi miała ich wszystkich. Najchętniej fotografowała jednak *vigili urbani*. Dobrą połowę kolekcji stanowili włoscy policjanci drogówki w białych rękawiczkach, a niekiedy nawet w białych hełmach tropikalnych.

– Najprzystojniejsi, musisz wiedzieć, są w Rzymie. Zdecydowanie najprzystojniejsi. Bez porównania, niedościgniony ideał. A każdy ma w sobie grację niczym Nuriejew. Każdy ruch, każdy gest to absolutna doskonałość, nie mówiąc o mundurze. I tylko sobie nie myśl, że którykolwiek z nich się uśmiechnie. Uśmiechy zachowują na po służbie, wiem, co mówię. Ale popatrz tutaj, przedwczoraj odkryłam w Taorminie ten wspaniały okaz.

Ciotka w każdą środę jeździła do Taorminy, do szkoły językowej prowadzonej przez Michele, przyjaciela mojego kuzyna, Ciro. Środa była w związku z tym jedynym dniem tygodnia, kiedy ciotka pozostawała trzeźwa. Wprawdzie całkiem nieźle radziła sobie po włosku, ale jej to nie wystarczało.

– Po co tak się stresujesz? – zapytałem kiedyś. – Jak na kogoś, kto i tak chce się zapać na śmierć. – To było bardzo niezręczne z mojej strony, tak bez ogródek nazywać po imieniu to, co podejrzewały moje ciotki.

– A co to za idiotyczne pytanie? – naskoczyła na mnie. – Dopóki nie opanujesz *passato remoto*, chłopcze, nie masz prawa mędrkować. Słyszysz?

W każdym razie Poldi sfotografowała w Taorminie pewnego wyjątkowo szykownego *vigile*, którego przy okazji chciała poznać bliżej. Wprawdzie ze swoją starannie przystrzyżoną siwą bródką i niewielkim brzuszkiem nie wyglądał już całkiem świeżo, ale za to nosił mundur z godną pozazdroszczenia arogancją przystojnego głąba, któremu mama wciąż prasuje koszule.

Ale wróćmy do Valentino. On kompletnym głąbem nie był, choć oczywiście nadal mieszkał u rodziców. Tylko że nie miał ani wykształcenia, ani regularnej pracy. A przy tym, jak prędko przekonała się Poldi, wcale nie był głupi. Jak wielu młodych Sycylijczyków jakoś sobie radził, mając się różnych prac, i nosił się z myślą emigracji do Niemiec. Dla Sycylijczyka emigracja na kilka dziesięcioleci to bułka z masłem. Spakuje walizkę, *bacio*, *addio* – i w drogę. To łatwiejsze niż wypad tanimi liniami lotniczymi w odwiedziny do kuzyna w Niemczech. Ale to tylko taka dygresja.

Valentino pomagał Poldi przy niewielkich naprawach, które okazały się konieczne zaraz po zakończeniu remontu domu. Nie żebym miał coś przeciwko kuzynowi Ciro, ale jeśli chodzi o dach, to jego ludzie odstawili totalną fuszerkę. Kiedy chciałem zmienić żarówkę w łazience na górze, z abażura chlusnęła na mnie Niagara deszczówki. To cud, że nie kopnął mnie prąd.

Valentino potrafił podłączać lampy, wbijać kołki w ściany, wymieniać klimatyzację i robić zakupy

w Hipersimply. Chłopak o rozlicznych talentach. Poldi prędko polubiła go z całego serca. Nawet pomagała mu wkuwać niemieckie słówka. Tyle że akcent, który sobie przy tym przyswajał, nastroczyłby mu pewnych kłopotów, gdyby zechciał się udać w rejony na północ od Aschaffenburga. Ale z wyjazdu do Niemiec i tak nic nie wyszło, bo na początku sierpnia Valentino nagle zniknął bez śladu.

Poldi czekała na niego cały dzień, gdyż obiecał, że zatroszczy się o zapchany odpływ. Ciotka nie żywiła urazy do nikogo, nawet jeśli ów ktoś wystawił ją do wiatru. Ale gdy nazajutrz i kolejnego dnia Valentino się nie odezwał i nie odbierał telefonów, początkowo trochę się dziwiła, potem rozzłościła, a na koniec zaczęła martwić. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak mało o nim wiedziała.

W gruncie rzeczy знаła tylko jego nazwisko. Candela.

I nawet nie miała pojęcia, gdzie mieszkał.

Signora Anzalone w ogóle nie zauważyła jego zniknięcia, a signor Bussacca tylko wzruszył ramionami.

– *Boh!* A gdzie ma być? Pewnie poznał jakąś dziewczynę. Wróci.

Jego słowa jakoś nie uspokoiły Poldi. Nie chciała w nie uwierzyć.

– Kiedy widział go pan ostatnio?

Bussacca pomyślał chwilę.

– Wczoraj? Nie, to musiało być przedwczoraj. Albo w poniedziałek. Tak, w poniedziałek. Kupił

paczkę lucky strike'ów i doładowanie do komórki za pięćdziesiąt euro.

Poldi przypominała sobie. Valentino pomógł jej wnieść na taras ciężką donicę z drzewkiem cytrynowym, po czym rozpieczętował nową paczkę papierosów, zdrapał kod z nowej karty telefonicznej i aktywował komórkę.

– Pamięta pan może, jakiego operatora była *scheda telefonica*?

– TIM. Inne się skończyły.

Poldi przypomniała sobie niebiesko-czerwoną kartę i zdziwiła się, bo Valentino zawsze doładowywał komórkę kartą czerwono-białą. A w poniedziałek miał nawet nowiutką komórkę. Tak jej się rzuciło w oczy.

– Czemu zmienił operatora? – zdziwiła się głośno, ale signor Bussacca skwitował jej pytanie ponownym „*Boh!*”, co jest włoską skróconą wersją zdania „Nie mam zielonego pojęcia”.

– No więc dokąd idziemy, kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć? – zapytała mnie później Poldi i niemal od razu odpowiedziała na swoje pytanie: – Idziemy do wodopoju. Gdyż albowiem wszystkie zwierzęta spotykają się przy wodopoju, te małe i te duże. Drapieżniki i ofiary, wszystkie ciągnie do wody, a człowiek wcale nie jest inny. A co, pytam się ciebie, jest wodopojem w Torre Archirafi?

– Eee... źródło wody mineralnej?

Poldi westchnęła.

– W przenośni!

– Bar?

– *Cento punti!* – Ciotka Poldi pociągnęła łyk.

W barze *Gelateria Cocuzza* Poldi od dawna była osobą znaną, ponieważ każdego popołudnia przychodziła na morwową *granitę* oraz brioszkę. Wypachniona, w białym kaftanie, z dramatycznym cieniem na powiekach, hojnie maźnięta różem i ustrojona w złote sandaalki, przybijała do baru niczym wycieczkowiec do prowincjonalnej mariny. Zawsze o piątej, gdy domy zaczynały się otwierać po długim, skwarным popołudniu i cała wieś wybierała się na *passigiata*. A odbywało się to następująco: ponieważ nie było sklepów, po których można by chodzić, miejscowi robili rundkę po *lungomare* i zaraz skręcali do klimatyzowanego baru, niczym komety, które za bardzo zbliżą się do Słońca.

I nic dziwnego, gdyż z baru od rana do nocy – z wyjątkiem wtorków – wiało cudowną, polarną, wzbudzaną przez dwa wentylatory bryzą, niosącą obietnicę wanilii, mleka migdałowego i kawy zaprawionej aromatami identycznymi z naturalnymi, które wywoływały dreszcz rozkoszy u każdego, kto nie był z kamienia. Na zewnątrz, na placu, trwało rozedrgane sycylijskie letnie popołudnie, a w środku, pod pomrukiem wentylatorów i klimatyzacji, wibrowała Arktyka, sprawiając, że mokre plamy pod pachami ulatniały się, a sierpniowy upał ulegał zapomnieniu na czas spożywania *gelato*. W witrynie, tuż obok świeżych cia-

stek z kremem, ozdobionych poziomkami, ciasteczek migdałowych, *cornetti*, brioszek i owoców z marcepanu, piętrzyły się połyskujące, kremowe góry w ośmiu różnych smakach. A na samym końcu lady pachniały nadziewane poduszcзки z ciasta francuskiego, złote różki *arancini*, *pizzette* i *tramezzini*. Za ladą, skryte głęboko pod aluminiowymi pokrywami, drzemały *granita* i butelki lodowatego mleka migdałowego. Krótko mówiąc: wszystkie pokusy świadczące o istnieniu dobrego Boga.

Wrażenie to jednak znikало, gdy wchodziło się do baru i spoglądało w oczy signory Cocuzzy, siedzącej przy kasie z wyrazem tak bezbrzeżnego smutku na twarzy, że aż serce się krajało. Ile mogła mieć lat? Nikt dokładnie nie wiedział. Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Sto? Może wysuszona i cherlawa kobieta była tylko duchem owianym słabą wonią wieczności i kulek na mole. Poldi zdołała dowiedzieć się tylko, że dziesięć lat temu zmarł jej mąż. Za to jej dwaj dorośli synowie za ladą, pogrążeni w sierpniowym letargu, z wyregulowanymi brwiami i ramionami pokrytymi tribalami, z przestępczymi fryzurami, odziani w koszulki piłkarskie, sprawiali wrażenie zdrowych i krzepkich.

Signora Cocuzza nigdy się nie uśmiechała i prawie nigdy nie mówiła. Tylko wbijała ceny w kasę, podawała paragony, zmuszając się przy tym do nikłego grymasu, a potem znów patrzyła w przestrzeń, jakby każdy akt kasowania odbierał jej ostatnią iskrę życia.

Coś takiego budziło ciekawość i dlatego Poldi ciągnęło do baru nie tylko ze względu na pyszną *granitę*. Signora Cocuzza, Poldi dostrzegła to od pierwszego spojrzenia, musiała być kiedyś piękną kobietą. Ale widać było również, że w tej cherlawej postaci szalał wielki ból, a na bólu to moja ciotka się znała.

– Przepraszam, signora, czy widziała pani ostatnio Valentino? Albo słyszała coś o nim? – Pytanie bardzo powoli docierało do świadomości signory Cocuzzy, która cały czas wyciągała ku Poldi rękę z paragonem za *granitę*. – Valentino Candela, zna go pani przecież – ciągnęła niewzruszenie Poldi, odbierając paragon. – Od trzech dni jakby zapadł się pod ziemię, nicpoń jeden. Pojawił się tutaj? Bo może niepotrzebnie się martwię, ale człowiek myśli swoje.

Signora Cocuzza ledwie dostrzegalnie pokręciła głową, jakby sam ten gest kosztował ją niewyobrażalny wysiłek.

– Przykro mi – wyszeptala.

Poldi, by nie naciskać, przeszła ze swym paragonem do lady, ale signora Cocuzza jeszcze nie skończyła.

– Donna Poldina... – tchnęła ledwie słyszalnie.

Poldi, zaskoczona, że signora nieoczekiwanie zwraca się do niej po imieniu, natychmiast doskoczyła z powrotem do kasy. Smutna signora wydobyla z kieszeni fartucha długopis, z takim trudem, jakby ważył

tonę, i skreśliła coś na odwrocie świstka. Adres w Acireale.

– Rodzice – szepnęła i podała świstek Poldi.

Ciotka pomyślała chwilę. Na końcu języka miała pytanie, skąd signora Cocuzza zna ten adres. Postanowiła jednak nie drażnić, podziękowała, zwróciła signorze paragon i zmieniła zamówienie.

Było, jak mówiłem, popołudnie. Sierpniowe popołudnie. A to oznaczało po pierwsze, że nadal było gorąco, a po drugie, że Poldi nie była już całkiem trzeźwa. Mimo to, z kilogramem *gelato* w ładnie zapakowanym w papier w kwiatki styropianowym pojemniku, leżącym na siedzeniu pasażera, skierowała swoją alfę do Acireale. Cel nie był daleko, właściwie tuż za rogiem, ale kręta, wąska *provinciale*, okolona z obu stron starymi, wysokimi murami z lawy wulkanicznej, dała Poldi, zważywszy na jej stan, mocno do wiwatu. Ciotka co rusz musiała unikać zderzenia z pędzącymi z naprzeciwka furgonetkami, wiozącymi cytryny. Tuż przed Santa Tecla z podjazdu hurtowni ogrodniczej wypadła ciężarówka załadowana sporymi palmami i drzewkami oliwnymi. W ostatniej chwili Poldi udało się zahamować. Kierowca ciężarówki zatrałił na nią wściekle, wyjechał na szosę i pomknął przed siebie. Zasapana Poldi przez chwilę siedziała w wozie na poboczu i gapiała się w dużą bramę z neonem „PIANTE RUSSO”.

O mały włos nie przywaliły mnie palmy, pomyślała, kręcąc głową. A to by namieszało.

Chociaż nie znała Acireale, od razu znalazła adres na obrzeżach miasta. W ogóle w każdym miejscu na świecie orientowała się znakomicie, od Dżakarty po Limę, miała bowiem jedną niezrównaną metodę: ciągle pytała o drogę. Co sto metrów przystawała, nie bacząc na to, czy ktoś za nią trąbi, i zagadywała pierwszą lepszą osobę. Procedura ta była odporna na mylne informacje żartownisiów i Poldi z precyzją nawigacji zawsze najkrótszą drogą trafiała do celu.

Maria i Angelo Candela nie mieli jeszcze pięćdziesiątki, a mimo to wyglądali staro. Bezrobotni od czterech lat, żyli z zasiłku i z tego, co przynosił Valentino. Zajmowali małe mieszkanie, w którym unosił się zapach papierosów, cebuli i z wątpienia, Poldi jednak od razu dostrzegła nowiutki plazmowy telewizor. Rodzice Valentino nawet nie byli zdziwieni, kiedy zniecka stanęła w ich prog.

– Valentino dużo o pani opowiada, donna Poldina – powiedziała Maria i prędko rozdzieliła przyniesione *gelato* na trzy miseczki. – Można powiedzieć, że już się znamy.

– A gdzie się podział Valentino?

Candelowie wymienili zaniepokojone spojrzenia, co nie uszło uwadze Poldi.

– Nie wiemy – odparł cicho Angelo. – Trzy dni już się nie odzywa.

– Często mu się to zdarza?

Zgodnie pokręcili głowami, zając łyczeczkami lody, zanim zdążą się całkiem roztopić. Albo żeby nie musieli mówić, stwierdziła w duchu Poldi.

– I nie domyślacie się, gdzie może być?

Ponownie zaprzeczyli. Plastikowe łyżeczki postukiwały o szkło. Poldi jakoś im nie wierzyła. Z namysłem oblizwała swoją łyżeczkę. Lody czekoladowe i pistacjowe zmieszały się ze sobą, smakowały teraz słodko, gorzko i słono. Jak lzy i zawiedzione nadzieje, pomyślała Poldi. Jak wszystko na raz, jak zawsze w tym kraju.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – wysiliła się na swój najlepszy włoski. – Nie chcę wtrącać się w czyjeś prywatne sprawy. Ale widzę przecież, że państwo się niepokoją. Ja też się niepokoję. Bo... może on ma jakieś kłopoty.

Na słowo „kłopoty” oboje drgnęli. Coś głęboko we wnętrzu Marii jakby się uwolniło i wydostało udręczone westchnieniem na powierzchnię.

– I wtedy – opowiadała mi później ciotka Poldi – po tym westchnieniu wiedziałam już, że Valentino naprawdę wplątał się w wielkie tarapaty. Bo na tarapatkach i westchnieniach to ja się znam. Najwyższy stopień zagrożenia, rozumiesz. Wtedy dotarło do mnie, że jego rodzice już przestali wierzyć, że wróci. I że nic więcej mi nie powiedzą. *Omertà* i te rzeczy, wiesz. No i włączył mi się taki program. Że muszę znaleźć

Valentino. Bo czas nagli. I tylko dlatego podwędziłam ten mały odłamek mozaiki.

Poldi zdecydowanym ruchem odłożyła na bok łyżeczkę i popatrzyła na Marię.

– A mogłabym zobaczyć jego pokój?

– Dziękujemy za lody, signora Poldi – powiedział Angelo formalnie. – Powinna pani już pójść.

Maria rzuciła mężowi ostre spojrzenie i wstała.

– Ale przedtem oczywiście może pani zobaczyć jego pokój.

Pokój Valentino wyglądał jak każdy inny pokój młodego mężczyzny mieszkającego jeszcze u rodziców. Niepościelone łóżko, rozrzucona niedbale bielizna, antyczny laptop z podłączonym kontrolerem do gier, na ścianach plakaty z Ferrari, gwiazdami piłki nożnej i rozebranymi dziewczynami. Pachniało kulkami na mole i trawką. Na parapecie po zewnętrznej stronie okna krzewił się imponujący okaz konopi indyjskich.

Podczas gdy Poldi rozglądała się uważnie, Maria stała w progu, jakby obawiała się zakłócić spokój duchom zamieszkującym ten pokój.

– To gatunek konopi, których nie można palić – powiedziała Maria. – On je trzyma tylko dla ozdoby, bo takie ładne.

Poldi wiedziała swoje. Na komodzie odkryła podręczniki do nauki niemieckiego, japońskie mangi i rząddek małych kolorowych kamyczków z mozaiki, któ-

re połyskiwały w promieniach słońca. Jasne kawałki terakoty, lśniące glazurowaną powierzchnią po jednej stronie, nie większe niż opuszek palca. Na samym końcu leżał żółty kryształ, z rodzaju tych, jakie można czasem znaleźć pod Etną. Trzycentymetrowy romboidalny graniastosłup, wyrosły na porowatym kamieniu. Ładna rzecz. Poldi wzięła go do ręki, a kiedy odłożyła, na jej palcach został zapach siarki. Zrobiła komórką zdjęcie małej kolekcji. I myk, ani się obejrzała, a jeden z glazurowanych odłamków znalazł się w jej kieszeni. Owszem, nie powinna, ale to był impuls. Rodzaj jakiegoś genetycznego programu, jak mi wyjaśniła. Trzeba bowiem wiedzieć, że ojciec ciotki Poldi był nadkomisarzem policji kryminalnej w Augsburgu. W komisji do spraw zabójstw. Georg Oberreiter, może niektórzy jeszcze pamiętają, to ten, który swego czasu rozwikłał sprawę Nöldena. I chociaż Poldi przez całe życie usiłowała odciąć się od rodziców, domu i całego tego podmiejskiego augsburskiego zaduchu, to jednak jabłko nie pada daleko od jabłoni, a rodzina Oberreiterów nie jest tu żadnym wyjątkiem. Poldi po prostu była naznaczona.

Maria odprowadziła ją do drzwi.

– Jeszcze raz dziękuję za lody. Jeśli usłyszymy coś o Valentino, od razu do pani zadzwonię.

– Może wpadnie pani kiedyś do mnie, pogadamy chwilę – zaproponowała ciotka. – Sprawiliby mi to wielką radość.

Maria pokręciła głową i ponownie westchnęła, w sposób, w jaki wzdycha tylko matka, która wie, że nie może pomóc swemu dziecku.

– Pracował czasem dla Russo – szepnęła. – *W vi-vaio*, wie pani?

Poldi przypomniała sobie ciężarówkę z palmami, która o mały włos nie rozjechała jej na placek. *Piante Russo*.

– Ma pani na myśli tę dużą plantację drzew ozdobnych przy *provinciale*?

– Tak. Koło Femminamorta.

Femminamorta.

W głowie Poldi uwolnił się kolejny okruch wspomnień. Drobnutki, prawie podziurawiony przez zapomnienie, zawirował, wzbił się do góry i jak płatek śniegu bezgłośnie opadł na obraz dnia, kiedy Valentino był u niej po raz ostatni. Na obraz podenerwowanego Valentino, który wtaszczył pół worka cementu schodami na dach, by załatać przeciekający kawałek. Obraz trochę za bardzo przygnębionego Valentino, jak sobie teraz przypomniała, który palił za dużo, aktywował nowiutką komórkę na kartę TIM i powiedział, że musi jeszcze pojechać w jedno miejsce. Do Femminamorta.

– Może mi pani powiedzieć, gdzie to jest?

Jedno było pewne: niełatwo było znaleźć to miejsce, bowiem Femminamorta nie była ani miejscowo-

ścią, ani restauracją, wskutek czego nie było żadnych prowadzących do niej drogowskazów, była za to nieoficjalną nazwą majątku ziemskiego położonego przy *provinciale*, tuż obok ogromnej plantacji ogrodniczej Russo. Ponieważ jednak mury ze skały wulkanicznej wzdłuż drogi nie pozwalały zajrzeć na posesję, tablicy z nazwą nie było, a Poldi nie widziała nikogo, kogo mogłaby zapytać o drogę, zmuszona była krążyć w tę i z powrotem, aż zauważyła niewielki wjazd. Teren plantacji przecinała długa na kilkaset metrów polna droga, sprawiająca wrażenie drogi nie do pokonania. Za kamiennym ogrodzeniem bzyzczały zraszacze i warczały koparki, które przewoziły z miejsca na miejsce wyrosnięte palmy. Podążając za opisem Marii, Poldi poprowadziła wymęczoną alfę przez setki dziur i wybojów do starej, dziko porośniętej bugenwillą łukowatej bramy, wspartej na dwóch kolumnach. Na jednej z nich królował ponury kamienny lew, trzymający w łapach herb z liliami. Brakowało lwa na drugiej kolumnie.

Za bramą zaś rozpościerał się mały raj.

Femminamorta.

Nieco podupadła sycylijska wiejska willa z osiemnastego wieku, zbudowana z tufu wulkanicznego, pomalowana na różowo i wielokrotnie zamalowywana, niemal w całości porośnięta bugenwillą i jaśminem, położona pośrodku subtropikalnego ogrodu, pełnego palm, krzewów oleandra, hibiskusa, drzew morelo-

wych, cytrynowych i awokado. W tle zaś, wcale nie tak daleko, z rozpostartymi skrzydłami, niczym mroczny anioł stróż – pyszniła się Etna.

Nigdzie nie było widać żywej duszy, okiennice były pozamykane, tylko obok wyblakłego zegara słonecznego na piętrze willi było otwarte jedno okno.

Poldi zaparkowała alfę.

– *Permesso?* – Bez odpowiedzi.

Spróbowała głośniej:

– *PERMESSO...?* Halo?

Nic.

Trudno. Poldi postanowiła przynajmniej przejść się po zaklętym ogrodzie. Wiatr cicho szeleścił palmami, rozmigotane promienie słońca oświetlały dom i ogród. Poza tym nie było nic widać ani słyhać, zupełnie jakby to miejsce dopiero musiało zostać przebudzone do życia. Być może śmiechem, Poldi bowiem od pierwszej chwili widziała, że to dobre miejsce. Że lód tu wytrzyma.

Na tyłach domu suszyła się bielizna. Poldi właśnie znów chciała zawołać, gdy znienacka została zaatakowana przez ogromnego rozjuszonego gąsiora. Ptaszysko z rozpostartymi skrzydłami wyskoczyło spod sznura z praniem i przypuściło szturm na Poldi, która z braku kija, trzymała gąsiora na dystans wyłącznie bawarskimi przekleństwami.

– Pójdiesz ty, durna psia mać! Wynocha stąd, ty pokra-ko zafajdana! Ta, sycz sobie, sycz! Jeśli myślisz, że się ciebie

wystraszę, to się naciąłeś, ty kulfonie krzywonogi, bo ja się twoich popapranych samczych popisów nie boję! Słyszysz?

Gąsior syczał, ciotka bluzgała. Atak, odwrót, syczenie, przekleństwa.

– *Mon dieu!* Kto tam? – Z piętra rozległ się głos. Kobieta mówiła po włosku z francuskim akcentem.

– *Moi!* – wykrzyknęła ciotka w odpowiedzi.

Gąsior uspokoił się momentalnie.

Na górnym tarasie pojawiła się zwiewna młoda kobieta. Błada cera, wytarty golf z podwiniętymi rękawami, okulary słoneczne, krótkie ciemne włosy, rozwichrzone, jakby dopiero wstała z łóżka.

– Marzenie każdego francuskiego reżysera palącego papierosa za papierosem – wyjaśniła mi później Poldi. – Jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Żywy stereotyp. Czysty destylat nerwowej, szalenie kapryśnej, niezdolnie samotnej, diabelnie erotycznej i czytającej Sartre’a francuskiej piękności.

– Nie, no jasne – powiedziałem. – Chcesz powiedzieć: nic dla mnie.

– Bosz, co ty zawsze taki wrażliwy jesteś!

– Naprawdę zawołałaś „*moi*”?

– Pewnie. Tak spontanicznie załapałam jej akcent, nie musiałam się zastanawiać.

Tymczasem młoda kobieta zawołała z zachwytem:

– Ach! *Êtes-vous français?*

– Nie! – odparła Poldi po włosku, zerkając na pokojowo już nastawionego gąsiora. – Ale niech pani tego nie mówi temu gęsiemu macho!

Kobieta na tarasie roześmiała się perliście i zeszła na dół. Gąsior oddalił się na swój posterunek.

– *Mon dieu*, jest naprawdę przerażający, nieprawdaż? Myślę, że pobiera od psów haracz za ochronę. – Mówiła po włosku płynnie, ale z silnym francuskim akcentem. Przez chwilę lustrowała Poldi, po czym ponownie się roześmiała, zupełnie jakby te krótkie oględziny wypadły ku jej wielkiemu zadowoleniu. Wyciągnęła rękę. – Valérie Raisi di Belfiore. Proszę mi mówić po prostu: Valérie.

– Isolde Oberreiter. Po prostu Poldi.

– Cóż to za zabawny język, którym pani przed chwilą mówiła?

– Bawarski.

– Ach, jest pani Niemką!

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Po pani włoskim w ogóle tego nie słysząc. Ale, *mon dieu*, jestem ostatnią osobą, której to oceniać. Mieszkam tu od dwudziestego roku życia i wszyscy mi powtarzają: „Proszę się nie martwić, signorina, za parę miesięcy pani włoski będzie dużo lepszy”. – Znowu się zaśmiała. W ogóle śmiała się równie często, jak wtrącała: „*mon dieu*”. Pod wpływem impulsu chwyciła Poldi za rękę, jakby była jej dobrą znajomą.

– *Alors*. Co my tak stoimy! Ma pani ochotę napić się kawy? Opowie mi pani, jakie przychylne prądy wyrzuciły panią na ten brzeg.

Valérie zaprowadziła Poldi do domu. Panowały w nim chłód i cień, pachniało kurzem, książkami, kulkami na mole i jaśminem, którego obfite pęki stały w rozlicznych wazonach. Czas nagle zwolnił, jakby musiał brnąć przez pachnący olej. Poza odległym szczekaniem psa ze świata z zewnątrz nie docierały żadne dźwięki. Również w środku różowa willa sprawiała wrażenie, jakby wypadła poza czas, sfatygowana przez stulecia, lecz wciąż zachowana niemal w oryginalnym stanie. Posadzka była wyłożona jasną terakotą i czarnym bazaltem. W niektórych miejscach spod wytartych dywanów błyskały kolorowe mozaiki. Na sufitach migotały kwietne ornamenty, spłowiełe nimfy tańczyły z kochankami faunami, pośród tropikalnych krajobrazów krążyły pawie, żurawie wędrowały nad zamglonym pejzażem i plamami z grzyba. Ogromne ośmiornice, delfiny i migotliwe barbaty przemierzały mityczny ocean, zaludniony rusalkami i syrenami, zza Etny spoglądał na moją oniemiałą ciotkę lubieżny satyr.

– A niech to dunder świśnie! Pocałujcie wy mnie wszyscy w dupę! – wykrzyknęła po bawarsku Poldi. I dodała po włosku: – Ten dom to magiczne miejsce! – Bo na miejscach magicznych i przeklętych ciotka znała się wyśmienicie.

Valérie odstawiła dzbanek z espresso i pokazała Poldi jeden z pokoi dla gości, w którym niegdyś mieściła się domowa kaplica. Z łukowatego i zaatakowa-

nego przez grzyb sklepienia wprawdzie sypał się tynk, ale pośród gołych placków nadal świeciły freski przedstawiające sceny z raju i wygnanie Adama i Ewy.

– W zeszłym roku gościłam tu pewnego różdżkarza, Niemca, który oświadczył, że nigdzie dotąd nie wyczuwał tak silnej pozytywnej energii.

W całym domu wisiały ponure portrety olejne dawnych właścicieli Femminamorta. Melancholijni młodzi mężczyźni, starcy o chytrym spojrzeniu i wypudrowane orientalne piękności, zasznurowane gorsetami i jedwabnymi sukniemi.

– *Voilà*, moi przodkowie ze strony ojca, z rodu Raisi di Belfiore! – wyjaśniła Valérie. – Burbonowie, tchórze, matki i dziwkarze, wizjonerzy, bohaterowie i poeci, święci i upiory – nikogo wśród nich nie zabrakło. Aż w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym zostali wywłaszczeni przez Garibaldię i wyrwkowo straceni przez fizylierów.

Poldi pokiwała głową. W końcu ze dwadzieścia razy oglądała *Lamparta* z Claudią Cardinale i Alainem Delonem.

– „Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak jak jest, wszystko musi się zmienić” – zacytowała słowa z filmu.

Dla ocalałych członków rodu Belfiore zmiany polegały jednak na tym, że biednieli z pokolenia na pokolenie. Aby przeciwdziałać ruinie, stopniowo sprzedawali ziemię i – *mon dieu!* – imali się mieszczańskich zawodów.

– Pewnie niektórzy z nich wciąż tu straszą – zauważyła Poldi, zapatrzona w portret jakiegoś szczególnie nieszczęśliwie spoglądającego przodka.

– *Mon dieu*, i to jak!

Ponieważ niemiecko-bawarsko-włoski gość nie ukrywał zachwytu domem, Valérie pokazała Poldi piwniczkę z winem. Zatechła suterena o łukowatym sklepieniu kryła w sobie potężną prasę do winogron z antycznej dębiny, murowane zbiorniki na moszcz i stare drewniane beczki, które pomieściłyby wyprostowanego dorosłego.

– Właśnie tutaj różdżkarz wykrył ośrodek pozytywnej energii.

– Ale wina dawno już się tu nie robi. – Poldi wskazała zakurzone beczki, graty i materace składowane za prasą. – Ładne marnotrawstwo pozytywnej energii.

– *Mon dieu!* – zgodziła się Valérie. – Kiedyś wszędzie tu uprawiano winorośl. Raisi di Belfiore zamieszkiwali Femminamorta tylko raz w roku, w czasie winobrania. Pod koniec dziewiętnastego wieku miało miejsce trzęsienie ziemi i pół dachu uległo uszkodzeniu. Mój prapradziadek natychmiast opuścił dom ze strachu, że się zawali, i nigdy więcej do niego nie wszedł. *Mon dieu*, przez sto lat nikt nie przekraczał progu tego domu. Aż w latach siedemdziesiątych mój ojciec sprawdził mury i stwierdził, że budynek jest kompletnie bezpieczny. Trzęsienie ziemi naruszyło tylko tynki, nic więcej.

– A wino?

Valérie pokręciła głową.

– Po *risorgimento* Belfiore pozbywali się krok po kroku wszystkiego, byle tylko nie pracować.

Poldi dowiedziała się jeszcze, że Valérie dostała tę niewielką posiadłość w spadku po ojcu, który tuż po jej narodzinach zostawił jej matkę.

– Kochali się i nienawidzili. Taki ogień namiętności potrafi strawić każdy związek.

– *Amour fou* – stwierdziła Poldi, bo na tym również się znała, i pomyślała o moim wujku.

– Ojca prawie nie znałam, ale kiedy dowiedziałam się o spadku, pomyślałam sobie, że najwyższy czas go poznać. Nauczyłam się więc włoskiego i przyjechałam tutaj. Ale, *mon dieu*, miałyśmy przecież napić się kawy!

Wysiedziane, przykryte wypłowiałymi tkaninami skórzane meble w salonie ustawione były wokół kawowego stolika, na którym piętrzyły się stare foliały i szcztane książki w kieszonkowych wydaniach. Wszędzie były książki. Na stołach, regałach i w witrynach oraz w starej bibliotece, która, jak wyjaśniła Valérie, pochodziła z późnego dziewiętnastego wieku.

Valérie podała lepkie ciastka do obrzydliwego espresso, które Poldi dla poprawy smaku nieco zaprawiła zawartością swej piersiówki. Valérie wzięła pięć łyżeczek cukru. Poldi lubiła ją coraz bardziej.

Femminamorta, jak dowiedziała się po chwili, była wszystkim, co z wielkiego majątku zostało rodzi-

nie Raisi di Belfiore. By utrzymać dom i jakoś związać koniec z końcem, Valérie wynajmowała nieużywane pokoje turystom.

– Teraz i tak większość ziemi dookoła należy do Russo. Poldi nadstawiła uszu.

– Zna go pani?

– *Mon dieu*, owszem. Od lat próbuje mnie poderwać i wycygnąć ode mnie Femminamortę.

– To on nie jest żonaty?

– Rozwiedziony. Ma dorosłą córkę, która wkrótce wychodzi za mąż. – Valérie się zaśmiała. – Nasze relacje właściwie są dość stabilne. Chociaż w ostatnim czasie Russo sięga po dość drastyczne środki. Widziała pani lwa przy bramie?

– Tak. Brakuje jego bliźniaka.

– No właśnie, brakuje, *mon dieu!* Russo wprawdzie zaprzecza, ale ja oczywiście wiem, że to jego sprawka. Wyraźne ostrzeżenie, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. – Wstała raptownie. – Ale co ja tu się pani użalam. Chce pani obejrzeć inne pokoje, zanim pani się zdecyduje? Może pani zostać tak długo, jak zechce, co do ceny na pewno się dogadamy.

Poldi przypomniała sobie, z jakiego powodu tu jest, i zrozumiała, że zaszło jakieś nieporozumienie.

– Właściwie to ja szukam Valentino. Valentino Candela, mówi pani coś to nazwisko?

Valérie wpatrywała się w nią przez chwilę, jakby musiała ustawić ostrość. W jej spojrzeniu zaszła nagła zmiana.

– Naturalnie – odparła ostrożnie. – Valentino. Ładny chłopak. Pracuje dla Russo, ale czasem pomaga mi też w gospodarstwie i ogrodzie.

– Trzy dni temu zniknął.

Valérie była wstrząśnięta.

– *Mon dieu!* Teraz, kiedy pani to mówi, myślę, że rzeczywiście nie widziałam go od dłuższego czasu.

– Mnie powiedział w poniedziałek, że wieczorem będzie zajęty tutaj, w Femminamorta.

Valérie pomyślała chwilę, a potem kategorycznie pokręciła głową.

– Nie, jestem tego całkiem pewna.

Poldi pokazała jej kawałek mozaiki, który zwinęła z domu Candelów.

Valérie oddała go jej, wzruszając ramionami.

– Bardzo ładne. Ale co to ma wspólnego z Valentino?

Poldi obracała kamyk w dłoni.

– Nie wiem. – Ożywiona przez kawę, brandy i dużą dawkę pozytywnej energii, wpadła na pewien pomysł. – Ale chętnie zapytam o to signora Russo osobiście. Najchętniej zaraz, bez zapowiedzi.

– Wątpię, czy panią przyjmie. – Kobieta nagle znów się uśmiechała. – Ale chętnie pokażę pani skrót do budynku zarządcy.

Prowadząca lekko w górę wąska ścieżka przecinała ogród Valérie i mijała niewielki sad migdałowy, ciągnąc się dalej wzdłuż boiska do gry w piłkę i ogród-

ka warzywnego. Poldi wyraźnie mogła już rozpoznać warowny budynek koloru piaskowca ze znakiem firmowym Russo, za nim rosnące szpalerem palmy, a jeszcze dalej Etnę, za którą powoli zachodziło słońce, barwiąc unoszący się z niej dym odcieniami różu i fioletu. Mimo to wciąż jeszcze było gorąco. Wyszedłszy z chłodnego domu, Poldi oblała się potem, który upstrzył jej biały kaftan szarymi plamami. Ciotka nie była dobrą piechurką, przeklinała upał i kurz, który rujnował jej klapki i tyłłał ubiór po kolana. Na domiar złego z naprzeciwka wypadły psy, dwa ujadające kudłate kundle. Ciotka Poldi lubiła psy, szczególnie takie kundelki, jazgotliwe i z przodozgryzem. Na ich widok po prostu nie mogła się powstrzymać, klaskała w dłonie i szczebiotała „nacionocionocio?”. Co w psim języku oznaczało „tak, możesz mnie spokojnie obskakiwać, pal lichu twoje brudne łapy!”. Rozjazgotanych psiaków nie trzeba było długo zachęcać – z entuzjazmem pozostawiły na kaftanie ciotki grube, czarne plamy z wulkanicznej ziemi, próchnicy i kurzu. Za nim Poldi zdążyła je przekląć, wesoło odbiegły w poszukiwaniu szcurów i innych przygód.

W holu palmowego imperium Russo zakurzona, spocona i umorusana ciotka od razu została przechwycona przez dwóch ochroniarzy w czarnych sportowych spodniach i koszulkach polo, a następnie wyproszona.

– Bardzo nam przykro, signora. Musi pani mieć umówione spotkanie, bez terminu nic nie da się zro-

bić, signor Russo jest bardzo zajęty, nie, bez terminu to *naprawdę* niemożliwe, nie, nawet jeśli przyjechała pani specjalnie z Niemiec, proszę wysłać faks albo uzgodnić telefonicznie termin z jednym z naszych konsultantów, konsultant odwiedzi panią niezobowiązująco i przygotuje odpowiednią ofertę, ale może pani wszystko wygodnie zamówić online, miłego wieczoru, signora.

– A nie mówiłam – westchnęła Valérie, kiedy Poldi jak niepyszna wróciła do Femminamorta.

Oba psiunie – Oscar i Lady – szalały w najlepsze dokoła, podgryzając się nawzajem w ogony. Poldi, zła i spragniona, wgramoliła się do alfy. Strasznie chciało się jej piwa, które ugasiłoby szalejące w niej na wyścigi frustrację i palące pragnienie.

Valérie podeszła do bocznej szyby.

– Naprawdę myśli pani, że Valentino przydarzyło się coś złego?

– Nie wiem – wydusiła wycieńczona Poldi. – Chcę go tylko znaleźć, zanim będzie za późno, rozumie pani?

Valérie skinęła głową.

– Russo zatrudnia ponad setkę ludzi. Czemu akurat on miałby wiedzieć, gdzie się podział jakiś dorywczy pracownik?

Poldi naprawdę bardzo chciało się pić. Potrzebowała piwa. Albo dwóch. Albo czegoś mocniejszego. I to szybko. Przemyślała jednak pytanie Valérie.

– Wie pani, jak to jest, kiedy budzi się pani rano i coś panią niepokoi? Jakaś ledwie wyczuwalna zmia-

na temperatury, wiatr, który powiał z innego kierunku, światło, które zyskało jeden cień więcej. Coś się podkrada, lód, na którym pani stoi, chrzęści cicho. Może miała pani zły sen, który miał panią ostrzec, ale już pani o nim zapomniała. Został tylko ten niepokój, towarzyszący pani przez cały dzień i podszeptujący niewyraźne słowa. – Valérie wpatrywała się w Poldi. – Chcę przez to powiedzieć...

Młoda kobieta zbyła ją gestem.

– Myślę, że zrozumiałam. Czy zechciałaby pani dotrzymać mi dziś wieczorem towarzystwa na malej niezobowiązującej *serata*? Dostałam zaproszenie od kuzyna mego ojca, straszliwego nudziarza. Ale jego żona, Carmela, fantastycznie gotuje. Od niedawna prowadzi nawet program na *Canale Cinque*, w którym prezentuje wyrafinowane wersje tradycyjnych sycylijskich dań.

– A nie ma żadnego faceta, który da sobie oderżnąć mały palec, by pani towarzyszyć?

– *Mon dieu!* – roześmiała się Valérie. – Chyba mimo wszystko wolałabym pójść z przyjaciółką. Poza tym... Russo również został zaproszony.

Poldi nagle się rozpromieniła.

Serata nie przebiegła jednak zupełnie niezobowiązująco, bowiem gospodarz, Domenico Pastorella di Belfiore, zwany krótko Mimì, okazał się wielkim wielbicielem Hölderlina.